№ 27.

Warszawa, dnia 4 Lipca 1863 r. 22 Czerwca.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELEKCJA I WJAZD UROCZYSTY

HENRYKA WALEZJUSZA

DO KRAKOWA.

(Dalszy ciąg).

Po odbyciu pogrzebu ostatniego Jagiellona, Zygmunta Augusta, w dniu 15 Lutego 1574 r. na którym nowo obrany monarcha nie znajdował się, i tylko obrzędowi pogrzebowemu uczestniczył poseł umyślnie wyprawiony, król Henryk trzeciego dnia zatrzymał się o milę od Krakowa, i zaraz przyjął oczekujących na niego Wojewodów, Stany królestwa i wysłanników miasta Krakowa. Że zaś nieskończoną liczbą koni i mnóstwem zbiegłego ze wszystkich stron ludu droga tak została zapchaną, iż wjazd byłby się przeciągnął pewno najmniéj do północy, uradzono więc, aby po objedzie orszak królewski złożony ze służby pomniejszéj i dworzan, jak również i przybyli dla saméj ciekawości, zaczęli wyruszać do Krakowa, a przez ten czas król Jegomość miał słuchać mów od Senatu i Akademji krakowskiéj pod bramą tryumfalną umyślnie w tym celu w polu wybudowaną. W mury więc Krakowa zaczęły wjeżdżać już od rana oddziały dworu królewskiego, a późniéj za niemi wyruszyły gromady jezdne przybyłe z różnych stron, których liczono na osiem tysięcy koni, jedynie tylko dla zobaczenia nowo obranego króla.

Około godziny drugiéj po południu poprzedzając Henryka, weszły do miasta zbrojne orszaki panów i książąt królestwa. Przed każdym orszakiem czyli kompanją jechał namiestnik właściciela chorągwi ze złocistym buzdyganem w dłoni; za nim postępowało dwóch paziów z których jeden niósł przyłbicę ozdobioną pękiem piór białych pawich złączonych u szczytu i wystrzeliwających w górze z osady srebrnéj; drugi miał tarczę i miecz w pochwie srebrem nabijaną. Za paziami jadący dworzanin trzymał dzidę i herb, za nim dopiero jechała służba w liczbie czasem do ośmiu dochodząca wiodąc konie powodowe, tureckie bachmaty i hiszpańskie ogiery. Niektóre okryte były jakby drobniutką złotą albo srebrną siatką, inne blachami sadzonemi w drogie kamienie; u innych znów czapraki były jedwabne, ze złotogłowiu lub

najkosztowniejszéj lamy, wyszywane perłami, drogiemi kamieniami lub ozdobione bogatym haftem. Strzemiona wędzidła i łańcuchy zamiast cugli, zgoła wszystko było złote albo srebrne: u łęku sterczały dwa przytroczone pistolety, u lewego boku miecz, na łbach powiewały kity białe, a na krzyżach rozety z pereł, lub rytowanego metalu suto sadzonego drogiemi kamieniami.

Za końmi powodowemi postępowali dobosze lub janczary czyli żele, daléj trębacze; chorągwie ciągnęły trójkami, z lancą w dłoni lub bez niéj, w pancerzu lub kołczudze, niektórzy mieli w ręku trzciny, a osobne oddziały w każdéj chorągwi były uzbrojone z turecka w łuki. W pierwszéj chorągwi liczącéj do tysiąca koni, przodem jechało 60-ciu przebranych za wilków. Z pomiędzy uszu konia wysuwała się głowa wilka, ogon wilczy opierał się o piersi jeźdźca, a łapy obejmowały kark koński. W pośrodku nich znajdowało się 120 dworskich ze trzcinami w ubiorze szkarłatnym i z przyłbicą na głowie. Za temi postępowało 300 innych w adamaszku pod suknią kołczuga, przez ramię spadał zawieszony łańcuch złoty, w ręku lanca z proporcem białym. Jako zaś symbol posłannictwa Polski, walczenia pogaństwa, gdzie niegdzie uwijali się Tatarzy na zwinnych koniach, a innych niby więźniów schwytanych w boju, za karę rabunków i mordów wieziono w tryumfie na wozach. Pomiędzy końmi powodowemi innych chorągwi, zwracały szczególną uwagę dwa, z których jeden miał sierść kędzierzawą tak doskonale udaną, iż zupełnie się wydawał jak duży baran, drugiemu zaś, tak zręcznie przyprawiono skrzydła, dziób i szpony, iż go wszyscy mieli za Hyppogryfa.

Drugi wóz z udanemi jeńcami, ale już nie Tatarami, otaczał oddział, w którym koń i jeździec okryci lamparciemi skórami, obudzali podziw, zkąd się wzięła taka owych mnogość, że mogła wystarczyć na okrycie przeszło stu koni i tyluż jeźdźców. U oddziału tego konie miały u grzywy po dwa skrzydła orle, i jedno na chełmie drugie na tarczy, która powleczoną była cieniuchną blaszką srebrną przytwierdzoną gwoździami, z główkami pozłocistemi wielkości orzecha, zwanemi zwykle albańskiemi. Przy innéj kompanji znajdował się dobosz bijący w żele w skórze baraniéj, i piszczek grający na piszczałce w skórze dzika, oba zupełnie podobni do zwierząt których skórami byli odziani. Największe zaś obudzał podziwienie dzielny rumak przybrany w tak wielką skórę niedźwiedzia, iż wystarczała na okrycie całego. Do kolan miał przywiązane dzwonki, a podnosząc nadzwyczaj wysoko nogi, zdawał się idąc naśladować stąpanie niedźwiedzia. Otaczająca go wielka liczba służby przybrana była obyczajem wołoskim i bulgarskim w wywrócone kożuchy, w czapki czerwone kształtu kaptura z dwóch stron otwartego, a w rękach trzymała trzciny.

Posuwał się następnie oddział z węgierska ubrany, ze złotemi łańcuchami przez ramię, i z lancami do ataku; osiemdziesięciu ze stanu rycerskiego w lamach srebnych, czarnym jedwabiem podszytych, ze skórą rysią na plecach. Następował daléj oddział ze 200 wynoszący, w zbrojach okrytych czarnym aksamitnym płaszczem, bramowanych lamą srebrną, w aksamitnych kapeluszach ze srebrnemi sznurami, za każdym giermek niósł hełm i tarczę żelazną na sposób włoski. Ukazało się potém stu w ciężkiéj zbroi, od stóp do głowy, z lancą do ataku, pistoletami u łęku. Daléj 60 dworzan biskupa krakowskiego z włoska przybranych w czarny aksamit w ferezją srebrną lamą bramowaną podbitą kunami. Ukazał się następnie orszak w adamaszku zielonym ze skrzydłem orlem na tarczy i hełmie; składał się ze 60 dworzan przybranych w suknie z aksamitu ponsowego podbitych sobolami, z kołpakami i czaprakami okrywającemi konia na karku i grzbiecie także sobolowemi. W ręku u każdego buława srebrna, na plecach drogie kamienie wyszywane w fontazie z jedwabnych wstążek i lamy srebrzystéj. Za temi tyluż innych w aksamicie gładkim także ponsowego koloru, lisami białemi podbitym, kołpaki także lisie, na szyi konia był zawieszony lis biały, a czapraki gronostajowe aż do ziemi. Pomijając wiele innych oddziałów, ostatni jak wszedł do miasta, bo innym za zbliżeniem się nocy dano rozkaz udania się boczną drogą wkoło wałów do bramy, miał ubiór z atłasu karmazynowego, kity z piór białego pawia, na plecach zaś udany łabędź z rozpostartemi skrzydłami jakby ładował się do lotu. Włoch opisujący ten uroczysty wjazd, którego był naocznym świadkiem, tak się wyraża.

W tém wszystkiém przepych pięciu przedmiotów najwięcéj uderzał: futra, metale, klejnoty, jedwabne materje i konie. Futer zagranicznych z najodleglejszych krajów, taka była obfitość, iż to przechodziło nasze pojęcie. Zdawało się nam, iż cała świetność i wystawność mieszkańców kraju tego szczególniéj na tém polega. Ozdób srebrnych i złotych cudnéj roboty, nie licząc w to ubioru na konie, tak wielki dostatek, iżbyś rzekł, że w tym kraju zgromadziły się wszystkie kopalnie świata, a w tém mieście najbieglejsi mistrzowie sztuki. Co do klejnotów, tych było nad podziw wiele nie tylko na czapkach i sukniach, ale nawet na po-

chwach i rzędach: więcéj jednak uderzało to mnóstwo materji jedwabnych, które z tak odległych sprowadzone krajów, wielkiéj muszą być ceny: a jednak śmiało można powiedziéć, iż z trzydziestu tysięcy jezdnych, najmniéj dziesięć tysięcy wystąpiło w aksamitach, w atłasie, w adamaszkach lub w innych daleko kosztowniejszych materjach, wielu téż i w haftach. Wszystko to jednak musi ustąpić wspaniałemu widowisku, jakie przedstawiała niezliczona liczba koni, celujących niezrównaną pięknością i rozmaitoscią. Żaden pendzel nie zdołałby skreślić coś doskonalszego, nad owe powodowe których do trzystu liczono. Sądząc więc iż wszelki opis byłby daremny, gdy nawet i zbliżenie się do prawdy nie podobne, zamilczéć wolę.

Pokazuje się więc z tego opisu Włocha, zdumionego rozwiniętym przepychem i zamożnością, że Polska wówczas była bogatszą od wielu państw europejskich.

Gdy więc dla zbytniego opóźnienia zbrojne orszaki co jeszcze nie weszły do miasta, udały się drogą wkoło wałów, samym już zmierzchem, począł wchodzić w bramy miasta Senat pomięszany z dworem królewskim, co trwało dobre dwie godziny, pomimo że panowie Litewscy nie chcieli uroczyście wjeżdżać, oświadczywszy, iż nie życzą sobie bogactwy swemi powiększać wystawność Polaków, i że skoro król przybędzie do Litwy, uczynią swą powinność w Wilnie z równym przepychem,

„Około godziny osméj, powiada Włoch ów naoczny świadek, przybył sam król Jmć, a chociaż wielkie mnóstwo pochodni i świateł z nocy prawie dzień robiły jasny, nie mogliśmy jednak nasycić oczu naszych szczegółowém oglądaniem bogactw. Polacy bowiem usiłując przewyższyć wszystkie inne narody swoim przepychem, nie przestają na wydatku na ubranie dworu swego z takim zbytkiem, ale nadto okrywają klejnotami i giermków, otaczających każdego ze znaczniejszych wojewodów, kasztelanów, starostów lub prałatów, a tych liczba nieskończona. Strzemiona téż i podkowy zwykli miewać srebrne albo złote, nie dbając o ich stratę.

Za przybyciem króla, dano ognia ze wszystkich dział, jakie się w mieście znajdowały. Otoczony swoją gwardją szwajcarskich halabardników i gaskońskich strzelców, wstąpił pod baldachin, niesiony przez ośmiu Rajców miejskich jadąc sam konno. Miał na sobie ferezją aksamitną rysiami podbitą, obszytą wkoło lamą srebrną we dwa pasy na piędź szerokie: na głowie czapkę podobnąż ze sznurem srebrnym, w środku duży dyament i wiele szmaragdów znacznéj wartości. Z pomiędzy łuków tryumfalnych które wystawiono, znajdował się jeden na rynku krakowskim, na nim dziwną sztuką był osadzony orzeł biały udany, z liljami francuzkiemi malowanemi na piersi. Gdy się król zbliżył, orzeł ten porwał się na skrzydła, jakby chciał lecićć na powitanie wjeżdżającego gościa.

Ztąd udał się król na zamek, gdzie zsiadłszy z konia wszedł do kościoła katedralnego i wysłuchał odśpiewania pieśni: Te Deum Laudamus. Po dziękczynnéj téj modlitwie udał się następnie król do Anny Jagiellonki, aby ją poznać i złożyć akt uszanowania. Królewna dotknięta tylu bolesnemi stratami, zatopiona w pobożnych myślach, cała przejęta dobrem ojczystéj ziemi, daleka od świata i jego ułudnych uciech, cicha, skromna przyjęła go w szatach żałobnych, jako w godle smutku swego sieroctwa i opuszczenia. Henryk krótko zabawiwszy, po wyrażeniu kilku uprzejmych grzeczności, zadziwił się jéj żałobnemi szatami i prosił aby je porzuciła.

Dnia 20 po odbytéj z rana spowiedzi przypuszczono po objedzie do ucałowania ręki królewskiéj Posłów zagranicznych. Potém udał się na Kazimierz do kościoła S. Stanisława na Skałce, gdzie poprzysiągł przestrzeganie sprawiedliwości i szanowanie praw królestwa.

Dnia 21 odbyła się koronacja w kościele katedralnym. Król przybył w ubiorze biskupim, w kapie, zamiast jednak infuły miał na głowie czapkę okrytą szmaragdami. Po odśpiewaniu Mszy S. namaszczony został przez Arcybiskupa gnieznieńskiego Prymasa królestwa. Gdy już trzymał w ręku jabłko i berło, a Wojewoda krakowski zbliżył się z koroną; kanclerz W. koronny zapytał ludu, czy jest jego wola, aby król został koronowanym? Lud w miejsce odpowiedzi krzyknął z wielkim oklaskiem: niech żyje król Henryk! niech żyje! niech żyje Henryk król nasz!

Opuszczając świątynię, król napotkał tak wielki tłum ludu, iż pomimo małéj odległości, w godzinę dopiero stanął na pokojach. (d. n).

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

(Dalszy ciąg).

Wystawa kur urządzoną była w rozkosznym ogrodzie na prześlicznéj murawie ocienionéj rozbitemi namiotami. I tu także podzielono wystawę na dwa oddziały, kury zbytkowne i użyteczne. Pan Simier pierwszy hodownik drobiu we Francji,

otrzymał główną nagrodę, która mu się jak najsłuszniéj należała. Z pomiędzy dostawionych przez niego egzemplarzy, najwięcéj zajmowała rassa kur jadalnych zwana *la race de la Fliche*, z któréj pulardy *poulardes du Mans*, dochodzą do wielkości indyka, i płacone bywają u przekupniów od złp. 100 do 300 za sztukę. Cena ta tak wysoka, nie odstrasza jednak miłośników smacznego kąska, i powiadają że p. Simier znakomite nawet odnosi ze sprzedaży korzyści. Jaki jednak smak tego ładnego ptaka o czarném jak kruk pierzu, pąsowym grzebieniu, szerokich piersiach i muskularnych nogach, korrespondent Wasz nie umie powiedziéć, dla przyczyn, które łatwo odgadniecie.

Drugim gatunkiem kur p. Simiera ściągającym ogólną uwagę były tak zwane kury ubogich, zapewne dla tego, że w pokarmie nie wybredne, nie wymagające żadnéj szczególnéj pieczołowitości, małe prawie karlice w porównaniu do poprzednich, przytém nie bardzo pierzem ustrojone, są jednak tłuste, wesołe i niezmiernie produkcyjne, tak że przy jakiéj takiéj wygodzie gotowe nieść jaja rok cały.

Kury kochińskie, które tak się upowszechniły na stałym lądzie Europy ze szkodą miejscowego drobiu, jak to i u nas ma miejsce w kraju, pomimo swéj okaźności jako dające mięso włókniste, grube bez smaku, nie otrzymały żadnéj nagrody i skazane zostały na wyniszczenie. Biedne kurzyska, miały po co aż z Kochinchiny wędrować do Europy? Uważałem że je to bardzo obeszło.

Najpiękniejsze jednak egzemplarze kur, powierzchownością i smakiem zbliżone do złotych bażantów, o wiele przewyższające okazy drobiu francuzkiego, dostarczyła jedna ze szkockich gospodyń, z rasy zwanéj Dorkings z którémi również żadnéj bliższéj nie zabrałem znajomości. Indyki tejże saméj pani ważyły po trzydzieści przeszło funtów polskich; w smaku mają być wyborne, o ile zdolne jest do tego jędorze mięso.

Ogólnie w howie drobiu uważano wielki postęp, jaka szkoda że u nas w kraju tak mało na niego zwracają uwagi.

Kwiatek najpiękniejszy produkt ziemi, główna ozdoba dziewiczych główek, ów symbol niewinności i wdzięku, lubiony przez wszystkich od dzieci do zgrzybiałego starca, corocznie w Paryżu wystawiany na popis, i w tym roku miał dla siebie wyłącznie urządzoną wystawę. Paryż bowiem wydający rocznie kilka miljonów fran. na same kwiaty, jest niezmiernie ciekawy w śledzeniu postępu ogrodownictwa, i dlatego urządzając wystawy, przepełnia je zarówno ciekawemi, jak i prawdziwemi znawcami.

Szkoda tylko, że miejsce tegorocznéj wystawy jest za szczupłe, i że te rozmaite gatunki olbrzymich kan, nakrapianych pąsem, palmy, auralie, agawy, kaktusy, aloesy, rododendony, tworzące przepyszne kląby, napchane są jak w handlu norymbergskim przeróżne towary, które szczegółowo przeglądane trudzą oko i osłabiają odbierane wrażenie. Przytém co wieczór mordowano pożogą elektrycznych promieni, te biedne rośliny, tęskniące zapewne za słoneczném światłem i wolnym oddechem na świeżém powietrzu.

Pomimo nowych nieznanych zupełnie okazów kwiatowych, róża nie została zepchniętą z tronu który od tak dawna zajmuje. Kilkaset gatunków w przeróżnych kolorach, począwszy od ciemnego fijoletu do białego, zapełniało kląb cały, zdumiewając krasą i wonią licznych przechodniów. Krzak z gwoździkami znajdował się tylko jeden, boczne zaś kląbiki przystrojono w bratki wysokiéj kultury, w madagaskarskie pierwiosnki białe i różowe, i w Werbenny pomiędzy któremi szczególniéj odznaczała się szkarłatna.

Żeby rzecz skończyć o wystawach, napomknę o ostatniéj wystawie malarskiéj, na którą artyści dostawili przeszło dwa tysiące różnéj treści obrazów. Najbardziéj mówiącym i zajmującym zarazem, jest przedstawiający bój Francuzów w ulicy Magenty, wielkości ogromnéj pełen życia i rozmaitości. Patrząc na te zapasy ludzi w walce tak pięknéj i szlachetnéj, krzepnie się na duchu i nie traci wiary w przyszłość.

W innych, widać same tylko sceny alpejskie, twarze włoskie, pięknych paniczów i pogorsowane damy z czasów Ludwika XV. W mitologicznych i religijnych, malarze francuzcy, zagubili nawet pamięć uczucia, które kierowało kiedyś pędzlem Rubensa lub Rafaela. W obrazach ich wszystkie boginie miłości kubek w kubek podobne do gryzetek paryzkich. Każda Wenus to loreta ze zgrabnie uniesioną sukienką, aby bielutka haftowana spódniczka, mogła pochwalić staranność pani, i zgrabność bucika opinającego małą nóżkę. Madony to damy z przedmieścia S. Germana, co to pół okiem błądzą po książce od nabożeństwa, a drugą połową troszkę w niebo a więcéj na swiat poglądają. Chrystus malarzy francuzkich, to zwyczajny kosmopolityczny mężczyzna, nabożny, pokorny, ufający i wierzący, ale nie zapominający że chodzi po ziemi, zupełnie jak dzisiejsze każde społeczeństwo. W obrazach tych znajdziesz wszystko, tylko nie szukaj myśli, któréj tylko z nieba zaczerpnąć można. (d. c. n).

WISŁA POD KRAKOWEM.

Starych Karpat córo! Wisło ukochana!
Czemuś taka smutna, jakby łzami zlana?
Czemuż moje drogie dziewczę modrookie,
Tak dumają smutnie nurty twe głębokie?
Czemuś tak zmarszczyła przezroczyste fale?
Czy słonko w twe lica patrzy za zuchwale,
Czy się powróciły zastarzałe boje,
I tatarskie konie znów mącą twe zdroje?..

Wisło, moja Wisło! tyś taka szczęśliwa!
Wkoło ci się kłania nadwiślańska niwa,
Nad twemi brzegami, rozbudzone wiosną,
Wśród zielonéj trawki polne dzwonki rosną,
Nad kurhanem lirnik stare dumy śpiewa,
A w dziewiczych lasach, pieśnią szumią drzewa....
I na twojéj fali flis piosenkę nuci
Czemuś taka łzawa? co ciebie tak smuci?

Wisło, moja Wisło! tyś taka urocza,
Jak dziewczę, gdy wianek wplata do warkocza,
Twe fale tak rzewne, jak sieroce oczy,
Kiedy je modlitwa łzą pociechy moczy...
Zostań ze swym smutkiem, z nim tobie tak pięknie
Jak dziecinie, kiedy przed obrazkiem klęknie;
Z nim tobie tak pięknie, jak lilijce z rosą
Jak dziewczęciu z długą, rozpuszczoną kosą...

Na Wawelu Zygmunt zahuczał rozgłośnie...
Dźwięk czysty, poważny, podnosi się we śnie,
I wiekowém hymnem uderza wspaniale,
O panieńskie skały i wiślane fale...
Dzwon rozgłośnie huczy w uroczystą ciszę,
Skała dźwięki łamie, a fala kołysze,
A oko słuchacza radosne łzy leje,
Gdy zgrzybiały Zygmunt gwarzy stare dzieje...

Wisło, moja Wisło! jak nad łożem twojém
Tchnie wszystko miłością, prostotą, pokojem...
Jak tu miło dumać, o minionych wiekach,
Z drżącém w piersi sercem, ze łzą na powiekach;
Tu sercu tak lekko, tak miło, swobodnie,
Tu słonko na niebie tak świeci pogodnie.
Oj, nie ma na całéj obszernéj ziemicy,
Nad Wisłę-strumienia, nad Kraków-stolicy!

Adam Maszewski.

MOJA PIOSENKA.

Piosnko moja! dziecię moje,
Mój jedyny skarbie ty!
Czemuż tylko przez łez zdroje
Świecisz zawsze mi?

Czemuś zawsze taka tęskna,
Córo moja wypieszczona,
Taka słaba i niemęzka,
Wiecznie płaczka rozżalona?

Gdzież podziały się te chwile,
Kiedym marzył, roił, śnił,
Myślą równą orłów sile,
Pod niebiosa duch mój wzbił?

Dziś wesołéj nie zanucę,
Żadnéj, żadnéj pieśni,
O! bo z serca już nie zrócę,
Krępującéj cieśni.

Bom ja synem bólu wszędzie,
Łez wylałem tyle,
Że już teraz lżéj mi będzie
Chyba aż w mogile.

Bolesław z Ustronia.

---

* * *

Jak Warszawiaki mało są oznajmieni ze znakami atmosferycznemi, straszącémi niby burzą, najlepiéj o tém przekonać się można w Saskim ogrodzie, gdy się zachmurzy która strona nieba, a wiatr gwiźnie i zacznie młynkować zasypując oczy piaskiem. Niedawno temu jedyne to miejsce przechadzki i świeżego na pół z pyłem oddechu, przepełnione było przechadzającemi się we wszystkich kierunkach, na ławkach pozasiadały liczne grona matek z panienkami, szczebioczącemi z młodzieżą zapewne nie o znikomości światowéj: w kółkach stojących i szczelnie ku sobie zsuniętych, gwarzono o czémś bardzo ciekawém i zajmującém: we wszystkich kierunkach krzyżując się przesuwały się pary i niepary, szeregi mniej i więcéj liczne; dziatwa uwijała się, piłki skakały, obręcze furczały, słowem ogród był pełen życia, gwaru, szeptu a nawet krzyku, bo młoda męzka generacja piersi zwykle nie żałuje, kiedy kolumny z siebie utwo-

rzone trzeba posunąć naprzód, lub zwrócić na prawo, lewo, albo wreszcie ruszyć kłusem żeby aż ziemia zadrżała.

Wtém od strony placu za żelazną bramą, pokazała się czarna chmura jakby opona zasuwana na pogodne dotąd niebo. Jaki taki spojrzał, mruknął coś między zębami, zabawa jednak w ogrodzie nie ustawała, bo słońce przyświecało dawnym swoim blaskiem. Ale jakaś tam błąkająca się chmurka zasłoniła słońce, i nagle ogród cały troszeczkę się przyciemnił. Natura nie uznano, że deszcz już wisi nad głowami: wszystko więc poruszyło się, każdy zwrócił się w swoją stronę, i ulice przemieniły się jakby w strumienie płynącego ludu, ku wszystkim wychodowym bramom.

W tém zawiał wiatr, zaszumiały złowrogo drzewa, tumany kurzu wzbiły się w górę, z drzew zaczęły opadać liście i szyszki kasztanowe. Strumienie ludzi przyśpieszyły kroku, krynoliny się powydymały, ręce powznosiły się do kapeluszy, a nawet tu i owdzie ozwał się krzyk, gdy nazbyt rozigrany wicher, cokolwiek niegrzecznie chciał się obejść z woalką, chusteczką lub parasolikiem. W chwilę potém wiatr z nowym jękiem już silniejszym wpadł pomiędzy drzewa, szczodrzéj zaczął sypać liściem i piaskiem i bardzo się niegrzecznie obchodzić z okrywkami, spódniczkami, zrywając nawet gdzieniegdzie czapki i kapelusze. Bieg strumieni dotąd choć przyśpieszony, ale odbywający się w zupełnym porządku, nagle przemienia się w tumult, każdy bierze nogi za pas, otula się, przytrzymuje kapelusz, pędzi przed siebie co siły starczą, krynoliny balonują, dziatwa szuka rodziców, rodzice dziatwy, mąż gubi żonę, żona męża, babka wnuki, piastunki dzieci, słowem gubią się prawie wszyscy wzajemnie, często z radością a rzadko ze smutkiem.

Ale to nie dosyć, to jeszcze mało. Nagle daje się słyszyć głos: deszcz już pada! Tu zamieszanie i tumult przemienia się w prawdziwy chaos; kłus biegnących przechodzi w galop, otwierają się parasole i parasoliki, powstaje krzyk, pisk, wrzask, jakby ze skóry kogo obdzierano, mężczyźni w pośpiechu przydeptują suknie, obrywają fałdy, właścicielki naturalnie gniewają się, a cała massa poważnéj przed chwilą publiczności, pędzi, szturcha się, popycha, karabambuluje, a nawet koziołkuje, bo w takim zamięszaniu i tłoku o wywrot nie trudno.

I w pięć minut w ogrodzie nie dawno przetłoczonym, robią się pustki, na niebie rozjaśnia się, chmura przeszła, wiatr ustał, i pogoda wróciła w całym swym blasku, nieprzerwana, ani kropelką deszczu.

Podobnie śmieszne alarmy dosyć często zdarzają się w ogrodzie, i dziś w ciężkim czasie do wesołości, stanowią niemal jedyną rozrywkę.

Mówiąc o śmieszności nie mogę milczeniem pominąć małego zdarzenia, nie bardzo chlubnie świadczącego o sumienności publikacji zagranicznych. Illustrowana gazeta w Lipsku wychodząca, pomieściła w jednym z ostatnich numerów, kilka portretów, z nazwiska wszystkim ogólnie znanych. Że portrety te jak się domyślać należy, ztąd byly posélane, a korrespondent załatwiający interesa gazety lipskiéj, jednego nie mógł znaleść, więc żeby i wilk był syty i koza cała, wziął pierwszy lepszy, marsową postawą, wypukłemi policzkami, łysiną i wąsem najwięcéj jakoś odpowiadający potrzebie i posłał go jako portret osoby do illustracji poszukiwanej.

Możecie więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy przewracając świeżo nadeszłą gazetę, nagle na jednéj z kolumn, dojrzałem odbitego ani mniéj ani więcéj, tylko.... samego siebie, z dodatkiem jedynie faworytów, łączących uszy z wąsami. Ale to nie koniec.

Pod portretem pomieszczono własne me nazwisko, dosyć zbliżone w brzmieniu do nazwiska właściwéj osoby, a w objaśnieniu powiedziano, że obadwa są mi wspólne. Jeżeli wszystkie portrety illustracji zagranicznych i ich opisy są tak prawdziwe, jak ten o którym mowa, to winszuję dobroduszności czytelnikom cudzoziemskim, ale jéj nie zazdroszczę. Nie pierwsze to podobne rysunkowe oszustwo wydawców zagranicznych, a że się jakoś coraz częściéj pojawia, mnożąc u nas kłamstwa jakich i tak nie brakuje, więc czułem się niejako w obowiązku do zaprotestowania.

SZARADA.

Pierwsze trzecie do mierzenia,
Druga nazwą jest litery,
Wszystkie zawsze są po cztery,
Bez wszelkiego zaprzeczenia.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Anatomicy**).

Nowości Zagraniczne.

Le bon ton. Suknie z paltotami ciągłéj używają wziętości, robią je z popeliny Irlandzkiéj, z fularu i innych wyrobów lekkich a nieprzezroczystych. Staniki postyljońskie podobają się powszechnie, karczek i przednie części stanika wyszywają się sutaszem albo pletniami szmuklerskiemi. Bardzo wiele sukien przystrajają wstawkami gipiurowemi i ruszami jedwabnemi; stanik i rękawy zuawskie dosyć obcisłe i otwarte do łokcia, odpowiedni mają garnirunek.

Do bardzo wielu spódniczek wełnianych robią się tylko kaftaniczki i bluzki białe co bardzo świeżo i ładnie wygląda. W magazynie p. Saran widzieliśmy mnóstwo rzeczy służących do teraźniejszego ubrania, wymieniamy tu niektóre: popelina Indyjska, mohair angielski, parametta krepa wełniana i grenadina *kanwowa* wełniana.

Kapelusze w obecnéj porze odznaczają się nadzwyczajną lekkością i prostotą najwięcéj używane są z włosienicy, tiulu i krepy. Okrągłe kapelusze ubierają piórami opasują aksamitem i paskami lakierowanemi. Rękawki białe krają się odpowiednio do wierzchnich rękawów sukni dosyć wązko, dodają do nich mankiety płócienne ostębnowane albo bufki marszczone ze wstawkami przewłóczone aksamitką. Spódniczki białe pod suknie zdobią karbowanemi falbankami i wstawkami haftowanemi z nanzuku.

Magasin des demoiselles. Małe dziewczynki od 3-ch do 6-ciu lat noszą sukienki pikowe ze stanikiem wyciętym czworograniasto, i kapelusze okrągłe z włoskiéj słomy ubrane aksamitem. Małych chłopczyków do trzech lat ubierają w spódniczki i kaftaniczki z nankinu albo piki i w kapelusze tak zwane *canotier.* Starsi używają kaftaników i pantalonów z popielatéj dymy. obszyte czarnemi taśmami; kapelusz marynarski uzupełnia ubranie.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z ciemno popielatéj popeliny obłożona u dołu i na każdym brycie plisami czarnemi jedwabnemi. Paltot jedwabny z materji niepołyskującéj, wpadający do figury naszyty wstawkami gipiurowemi z białém podwleczeniem. Kapelusz włosienicowy z karczkiem jedwabnym podpięty czarnemi kwiatami.

Figura 2. Suknia jedwabna z fałdowaną falbanką. Mantyla szalowa garnirowana ruszą i falbanką. Kapelusz słomkowy ubrany piórami.

Figura 3. Paltot krótki i zupełnie wolny przybrany pasmanterją na przodzie i na bokach. Rękawy tak zwane *à coude* odpowiednio naszyte. Suknia jedwabna z szeroką falbaną fałdowaną; przystrojona na każdym fałdzie kwastami szmuklerskiemi. Kapotka marszczona, z tiulu jedwabnego, ubrana kwiatami i piórami.

Figura 4. Rotonda jedwabna, naszyta falbanami koronkowemi i pasmanterją. Kapelusz krepowy ubrany kwiatami.

Fignra 5. Burno z materji *grosgrain* przyozdobione wstawkami gipiurowemi i kwastami szmuklerskiemi. Kapelusz tiulowy ubrany piórami.

Figura 6. Mantyla jedwabna garnirowana falbaną gipiurową i taśmą szmuklerską. Suknia czarna fularowa w biały rzucik. Falbana naszyta w zęby, powyżéj ma plisę czarną z wystębnowanym białym desenikiem. Kapotka z krepy marszczonéj ubrana kłosami czarnemi i koronką.

Ubranie panienki. Paltocik wpadający do figury wyszyty sutaszem. Suknia z gęstego bareżu mozambickiego naszyta u dołu dwa razy ruszą jedwabną. Kapelusz ze słomy angielskiéj, ubrany kokardą aksamitną i białą kitką.

DONIESIENIA KSIĘGARSKIE.

KSIĄŻKI DLA LUDU

WYDANE NAKŁADEM

Redakcji Gazety Rolniczéj.

1. *Katechizm rolniczy* dla młodzieży wiejskiéj, przez Wincentego Darowskiego, (Wydanie 2). Warszawa, 1861. . . . . Złp. 3.

2. *Nauka obyczajowa* dla ludu wiejskiego, podług księdza Grzegorza Piramowicza, wydana na nowo w 1862 roku w Warszawie, gr. . . 20.

3. *Powieści dla ludu,* przez Jana Kontrymowicza z trzema obrazkami, Warszawa 1862 złp. 1.

4. *Kalendarz* czyli *Noworocznik,* dla ludu Polskiego, z wieloma obrazkami, na rok 1863 (wydany w Warszawie). . . . . złp. 1.

5. *Włościanin Polski* czyli gospodarstwo wiejskie, wyłożone na pytania, dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych, przez Zygmunta Gawareckiego. Warszawa, 1862 złp. 6 g. 20.

6. *Komornica* czyli tajemnice z życia wiejskiego, przez Walerego Wielogłowskiego, (wydanie 2.) Kraków, 1862. . . . . złp. 5.

7. *Pszczolarz Polski* czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych, zastosowany do potrzeby pojęcia braci z ludu, przez Józefa Znamirowskiego, z 64 obrazkami, cena złp. 10, (pod prassą).

8. *Drobnostki gospodarskie,* przez Józefa Gluzińskiego. Warszawa, 1860 r. . . . . . złp. 4.

9. *Obrona świętéj Częstochowy,* przez Józefa Szujskiego. Warszawa 1863 . . . . . gr. 6.

Wszystkie te książki kosztują złp. 31 i groszy 16. Redakcja jednak *Gazety Rolniczéj,* tak dla swoich prenumeratorów, jako i dla prenumeratorów *Tygodnika Mód,* mianowicie dla tych co wprost wszystkie te dzieła wypiszą, przez pośrednictwo nadesłania pieniędzy do Redakcji, zniża te ceny na rs. 4 i jeszcze własnym kosztem przesyłkę uskuteczni, czyli że obniża cenę o $^1/_3$.

KORRESPONDENCJA.

Pani Ant. Moch. we wsi Strzelce, z nadesłanych pieniędzy na prenumeratę, po opłaceniu takowéj, i po potrąceniu dawnéj należności złp. 1 gr. 20, pozostało w Redakcji złp. 8.— Panu S. K. z Bożejewa. Prosiemy o wypisanie wyraźnie nazwiska i ostatniéj Stacji Pocztowéj, gdyż niewiemy dokąd i dla kogo mamy posyłać brakujące Numera.— Pani Ade. Szu. w księgarni zapłacono złp. 10 pozostaje jeszcze w Redakcji złp. 10.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 27 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 4 Lipca 1863 roku. *22 Czerwca.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ II.

Dokończenie.

— A potém — ciągnęło dziewczę daléj — zrobił wielmożny pan Janka stangretem.... i były zrękowiny nasze. I wielmożny pan, ot, sam mówił, abyśma z matusią jedyną paniunię nawiedziły w Warszawie. Zapłacił za nas na téj kolei, co to leci, gdyby wiatr, że jeno tak miga się wszystko. O, mój Jezu kochany! Przenajświętsza Panno! — dodała, składając dłonie — Jaki téżto dobry ten pan Wojarowski! Niechżeż jemu Pan Bóg wszechmogący szczęśliwością wszelaką odpłaci!

Dziewczę dłużéj jeszcze prawiło, opowiadało— ściskało paniunię, a sławiło panicza.

Annie przeciwnie, aż słów niby zabrakło: była upojona tém wszystkiem, co ją tak nadspodziewanie spotkało. A gdy następnie Julka z pensyi wróciła, to nacieszyć się nie mogła, że Anka takich ładnych dostała rumieńców. Szczęśliwiące uczucie wywołało to kwiecie serca na przybladłe cierpieniem jagody młodéj dziewczyny.

Pociąg jadący z Warszawy, zatrzymał się w M. L. — z wagonu wysiadł Łasiński, gdy w téjże chwili Alfons wyszedł z dworca kolei żelaznéj, i rezydenta Trockiego powitał.

— Cóż tam? Z Warszawy jedziesz? zapytał młodzian wesoło.

— Z Warszawy — odrzekł Łasiński: Alfonsa uderzył wyraz twarzy jego zafrasowany. — A ty jedziesz z Mrowina?

— Niby z Mrowina, alem trochę w *gzygzag* jeździł. Cóż słychać w Trocku?

— Hm! Niejedno zaszło — i więcéj jeszcze przedłużyło się rezydenta oblicze.

— Cóż takiego?

— Chodźmy na stronę — i zeszli na drogę uboczną, drzewami sadzoną.

— Gadajże, bom niecierpliwy! — rzucił się Alfons.

— Jeździłem do Wasszawy po pasport dla państwa do Włoch.

— A to co znaczy? — Alfons ździwiony przystanął.

— Zapewne i ty z niemi pojedziesz.

— Być może. Ale cóż daléj?

— Guwernantki już niema.

— Niema! — krzyknął Alfons i pobladł.

— Toć-to ona całego nawarzyła piwa.

— Co takiego?. — i młodzian bardziéj jeszcze pobladł.

— Żeni się z nią Wojarowski.

— A!... Być nie może! Niepodobna!—posiniałe usta Alfonsa konwulsyjnie zadrgnęły.

— Daję słowo honoru. Napisał do pana po formie wszelkiéj, jako do opiekuna: że się z panną Anną Jarosławską zaręczył.

Alfons stał przez chwilę osłupiały, potém rzucił się nagle, mocny rumieniec zapalił mu lica i zawołał:

— Co tam porobiło się wszystko? Jakieś znać straszne zaszły rzeczy! Gadaj, co się stało! — i drżącą ręką schwycił go za kołnierz.

— Ot, był tam mecenas Gębski, a za nim przyjechała Palicka, o jakąś tam summę, któréj pan nie chce jéj przyznać. Guwernantka była w bibliotece, wpadła tam i Palicka, ukryła siebie i ją za szafy.... i wysłuchały co pan z mecenasem o interesach w kancelaryi gadali. Była mowa i o Mrowinie.... dowiedziała się, jak to tam mecenas pokierował *subhastą*....

— Jakto! Co to? — krzyknął Alfons i zatrząsł się cały.

Łasiński wziął go pod rękę, i przyciszonym głosem wyłożył mu tę sprawę fatalną.

Alfons nic już nie wyrzekł, o nic więcéj nie pytał, ale był trupio-blady.

W milczeniu szli daléj. Łasiński spojrzeniem ukośném śledził każdy wyraz młodziana, który ze zaciętemi wargami szedł niby bezprzytomny.

— Są to zwyczajne dzieje — zaczął po chwili pierwszy — to zdarza się codziennie: pan żadnéj winy....

— Cicho! Ani słowa! — wrzasnął Alfons, a rysy twarzy jego zmieniły się potwornie, że aż przestraszył się przyjaciel Trocki.

— Panie Alfonsie — przerwał znowu Łasiński, niby lękliwie nieco, chwilowe, cierpkie milczenie — konie z Trocka czekają, jedźmy!

— Nie pojadę!

— Przez miłość Boga! — zawołał rezydent przerażony — przez miłość Boga, pojedź-że ze mną! Rodzice ucieszą się.... i pana Klementyna....

— Biedna Klementyna! — westchnął Alfons, a potém dodał spokojniéj: Jédź!.... ja poczekam na pociąg, pojadę do Warszawy..... i wyrobię sobie także pasport do Włoch..... Z pasportem do Trocka przybędę po jutrze..... za dwa dni.

— A, na to zgoda! Będzie to najlepiéj, że państwo wszyscy razem pojedziecie. No, to i do widzenia!

— Do widzenia!

Podali sobie ręce. Łasiński udał się, gdzie na niego powóz Trocki czekał. Alfons daléj w pole pobiegł.

W mieszkanku pań Jarosławskich na Lesznie, w gabineciku babki, która nieco znużona na kanapce wypoczywała, — siedziała pani Wincentowa i Anna, obiedwie ręczną zajęte robotą. Na licu młodéj dziewczyny jaśniał wyraz szczęścia — a na palcu obrączka brylantowa, którą Stanisław zaręczył ją sobie — a była to pamiątka po ciotce jego, tyle mu ukochanéj i drogiéj. Oblicze matki było wiernem odbiciem wyrazu córki: religijny, święty tlił w nich spokój — rzekłbyś, że modlitwa dziękczynna. Babka z zadowoleniem prawiła, układając plany na przyszłość.

Anna już wiedziała od matki, że co do summy na Kierejach, żadna więcéj nie pozostała im nadzieja — taiły tylko jeszcze przed babką tę stratę. A zacny Stanisław Wojarowski oświadczył, że gdy babka po ślubie jego z Anną, już nieco nawyknie do miejscowości w Grodzielsku, sam ją o tym niefortunnym uwiadomi wypadku — i uczyni to w sposób taki, by jéj wszelkiego oszczędzić zmartwienia.

Dzisiaj babka znowu na ulubiony przedmiot onéj kierejskiéj wpadła należności. Synowa i wnuczka nie wiedziały co miały mówić, gdy wtém przerwała im Marysia, z wielkim zadowoleniem obiedwóch.

— Proszę wielmożnéj pani, jest gość — ozwała się dziewczyna.

— Kto taki? pani Wincentowa powstała.

— Pan Alfons Rożniszewski. A prosi, by mógł widzieć się z paniami.

— Ah, mamo! — zawołała Anna.

— Zostań, moje dziecko! Wyjdę sama do niego — wyrzekła matka spokojnie, wyszła do saloniku i drzwi za sobą zamknęła.

Po dość długiéj chwili wróciła pomięszana i pobladła.

— Pan Alfons oświadczył się o twoją rękę— wymówiła matka.

Anna przelękniona spojrzała.

— Odpowiedziałam mu, że jesteś zaręczoną panu Stanisławowi Wojarowskiemu — pani Wincentowa odetchnęła ciężko. Jest-to człowiek gwałtownych uczuć, namiętny.... pragnął z ust twoich, jak się wyraził, swój wyrok posłyszeć....

— O, mój Boże! — Anna trwożnie złożyła dłonie.

— Prosiłam, by ciebie oszczędził — ciągnęła matka daléj — mówiłam mu, że pan Stanisław oddawna jest wybranym twojego serca.... Przykra nad wyraz była to scena.... Biedny człowiek! — pani Jarosławska miała łzy w oczach.

— Och, mamo! moja mamo! — Anna trwożnie splotła ręce. I cóż daléj?

— Okropnie wyglądał.... Klął kupno Mrowana.... Życzył ci szczęścia.... i wybiegł.

Anna płakała—i matka jéj ocierała łzy z oczów.

— To więc, jak widać — ozwała się na to babka — ten młody człowiek wcale jest szlachetnym i zacnym.

— Zbyt to często, że synowie cierpią za winy ojców! — dorzuciła pani Wincentowa z ciężkiem westchnieniem.

Gdy Alofns wybiegł z mieszkania pań Jarosławskich, dopadł dorożki i kazał się zawieść do *Hotelu angielskiego.*

Za pół godziny ekstrapocztę do *, — wymówił do szwajcara, i wbiegł po wschodach.

— Pewnie ma febrę, bo strasznie wygląda— przemówił jeden ze stróżów.

— Cóś pilno mu w podróż — dorzucił drugi.

W półgodziny potém wsiadł pan Alfons Rożniszewski, również blady i siny, jak poprzednio, do kocza — a dzielne konie pocztowe poleciały z nim przez *Nowy-Świat* ku *Alejom*.

W Trocku w tym czasie czyniono nagłe przygotowania do dalekiéj do Włoch podróży. Wszystko było w ruchu — a panie oddawały i odbierały pożegnawcze wizyty.

Do pokoju matki weszła Klementyna, ubrana w różową suknią, obrzucona białym kaszmirowym burnusem.

Mamo! — wymówiła — kareta zaszła.

Matka i córka wybierały się właśnie do Zalas.

Pani Rożniszewska spojrzała na córkę.

— Jesteś trochę blada, moje dziecko — wymówiła smutno.

— Och, to nic! — rozśmiała się panna z przymusem — *Je mettrai du rouge*.... A zobaczy mama, jak będę wesoła. Antonina pozazdrości mi téj włoskiéj podróży — i szybko wybiegła.

Pani Rożniszewska trwożnie pokręciła głową.

Gdy wsiadły do karety, Klementyna była różową, uśmiechniętą, wesołą że matkę aż serce zabolało. A była taką i przez cały czas wizyty.

Matka i córka oznajmiły nowinę o małżeństwie Stanisława Wojarowskiego — czemu źdźiwiono się niemało w Zalasach.

— To jest jedyna dla niego żona! — wyrzekła Klementyna — Domator, trochę, *ciuciubabka* trochę *sensat:* dobrali się! Bo panna Anna także jest bardzo cicha i domowa: *une petite nonne.*

— Jemu bo życie domowe jest potrzebą — dorzuciła pani Rożniszewska sentencyonalnie — nie stworzony do konkurencyi żadnéj, a tutaj zrobiło się wszystko od razu i dobrze.

Wizyta niedługo potrwała. Klementyna zawsze uśmiechnięta, wesoła — że za dni parę do Włoch wyjeżdża — uścisnęła Antoninę: „do widzenia za rok!" i do powozu wskoczyła.

Gdy wszelako za powrotem do domu, w swoim stanęła pokoju, zrzuciła stroje i pannie odejść kazała — upadła na fotel i z gwałtownym, rozpaczliwym wybuchem żalu, ręce załamując, zalała się łzami. Biedna Klementyna! Biedna Klementyna! Mogłaby była dać szczęście i zostać szczęśliwą — gdyby inne była otrzymała wychowanie!

Nazajutrz, pan Rożniszewski, po nocy przykremi zniepokojony snami, rychło zbudzony, porwał się z posłania, otworzył okno — i zadzwonił.

Wbiegł lokaj.

— Jaśnie panie, przyjechał ekstrapocztą w nocy rządca z Mrowina, za pilnym interesem jakimś. Nie położył się wcale.

— To go zawołaj.

Po chwili wszedł mężczyzna lat średnich, mający na sobie jeszcze ślady nocnéj, niewygodnéj podróży — i skłonił się w milczeniu.

— Dzień dobry panie Ozimowicz. Jak się masz? — zwrócił się ku niemu pan Rożniszewski uprzejmie. — Z czemże przybyłeś?

— Jaśnie panie.... Panie!... Nieszczęście wielkie! — i załamał ręce.

— Pogorzał Mrowin? Czy co?

— Panie! Straszne nieszczęście! Okropność! ... Pan Alfons ... pan Alfons się zastrzelił!

— A! — krzyknął boleśnie rażony ojciec, zatoczył się i na wpół zemdlony upadł na krzesło.— Jezus, Marya!... Cóż się stało!... Jezus, Maryo! — zawołał jękliwie.

— Zostawił list — i Ozimowicz podał mu pismo zapieczętowane.

— Ale, cóż?... Cóż? — i nieszczęśliwy drżącą ręką rozłamał pieczątkę.

— Pan Alfons przyjechał pod wieczór z Warszawy, ekstrapocztą. Kazał sobie zaprządz zaraz i pojechał do Żarczyna, do pana Warnika. Gdy wrócił, już było późno, pisał długo .... a potém.... huk nas zbudził.... nieszczęście straszliwe!

Pan Rożniszewski kopertę rozerwał — i list czytał. Zbladł okropnie — drżał jak we febrze— i papier kurczowo zmiął w ręku.

— Czy mówiłeś tutaj o tém?

— Nikomu ani słówka!

— Zamilcz przeto, by panie nie dowiedziały się o niczem..... Możesz odejść.... A każ do mnie Łasińskiego poprosić.

Po wyjściu Ozimowicza, spalił Rożniszewski list syna, rzucił się na krzesło — ukrył twarz w dłoniach — i jęki tłamione srogiéj a prawdziwéj boleści, z jego wyrywały się piersi.

Tak zastał go Łasiński.

Uradzili obadwaj, ażeby nateraz przed paniami zataić wszystko, przyspieszyć wyjazd do Włoch — i późniéj dopiero, miał pan Rożniszewski o tym strasznym wypadku powiadomić żonę i córkę.

Dnia trzeciego potém już cała rodzina była w drodze ku Krakowowi.

Pani Palicka wprzódy całą otrzymała należność.

W połowie Sierpnia przywiózł pan Stanisław Wojarowski młodą żonę do Grodzielska. Wjazd

ich odbył się cicho — i tylko gromada ochociła sobie w karczmie. Oboje dotkliwie śmierć Alfonsa uczuli — a jeszcze śmierć taką! — oboje żałowali go z całego serca. Anna pamięć jego szczeremi uświęciła łzami.

Nastka młodą panią powitała już jako żona Jonka.

W tydzień potém zjechały babka i matka do Grodzielska. Wybrały sobie nateraz rezydencyą w białéj oficynie, w ogrodzie, na ustroniu, w ciszy — i bardzo im dobrze i wygodnie tam było. Bo Stanisław nie szczędził starań i kosztu, by tamże wszelki zaprowadzić *comfort*.

Przybyła z niemi i Julka, mająca właśnie wakacye. Grodzielsk cudnie wyglądał: wdzięczne położenie, powaby natury, — wszystko wzorowy smak dziedzica podnieść więcéj jeszcze potrafił.

Anna ciągle powtarzała, że Grodzielsk śnił jéj się w noc ostatnią przed wyjazdem do Trocka — i że senny ten obraz pozostał się w jéj pamięci na zawsze.

W połowie zimy nadeszła wiadomość, że panna Klementyna Rożniszewska, w Rzymie do zakonu *pań serca Jezusowego* wstąpiła.

Trock i Mrowin stały pustkami.

Siekierki w Marcu 1862 r.

KONIEC.

Od Redakcji.

Z dniem 1 Lipca b. r. skończyła się prenumerata na pierwsze półrocze *Tygodnika Mód*, który pod temi samemi warunkami co i dotąd wychodzić będzie i w drugiem półroczu. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze raczą Szanowni Prenumeratorowie składać wcześnie przedpłatę na właściwych Stacjach Pocztowych, do przyjmowania któréj, wszystkie Poczta nta upoważnione zostały przez Zarząd główny w Królestwie.— W Cesarstwie zaś oprócz przesyłania pieniędzy wprost do Redakcji, prenumerować można za pośrednictwem księgarni w Wilnie, Żytomierzu i Kijowie.

Po ukończeniu obecnie powieści p. Pauliny Wilkońskiéj Mrowin i Trock, rozpoczniemy druk powieści historycznéj z końca panowania Jana Kazimierza. Wszyscy nowi Prenumeratorowie za zgłoszeniem się do Redakcji, odbiorą w odbitce tę część powieści p. Wilkońskiéj, która w pierwszém półroczu *Tygodnika Mód*, była drukowaną.

Chociaż regularne odbieranie pisma naszego, wyłącznie od ekspedycji pocztowéj zależy, wszelkie jednak zażalenia wyniknąć mogące z tego tytułu, z jak największym pośpiechem starać się będziemy załatwiać. W wypadku więc nie dojścia których numerów, raczą Szanowni Prenumeratorowie udawać się wprost do Zarządu poczt adresując: Do Ekspedycji Ga et w Królestwie, na papierze bez stempla i bez opłaty portorji. Cena prenumeracyjna pozostaje ta sama a mianowicie: — *w Warszawie* kwartalnie złp. 10 (rs. 1 kop. 50); półrocznie złp. 20 (rs. 3); rocznie złp. '0 (rs. 6). *Na Prowincji*, rocznie złp. 50 (rs. 7 kop. 50); półrocznie złp. 25 (rs. 3 kop. 75). — *W Cesarstwie i Królestwie*, z dopłatą kopert pocztowych, rocznie złp. 63 gr. 10 (rs. 9 kop. 50); półrocznie złp. 31 gr. 20 (rs. 4 kop. 75).



Imp. Leroy 66 r des Marais

1 Fonta — 2 Maryan — 3 Macbeth — 4 Crochett — 5 Alexandra — 6 Patti — 7 Asmodine

TYGODNIK MÓD

w Warszawie